



POLA  
ŚMIERCI

KAMBODŹAŃSKA ODYSEJA

HAING NGOR

FRONDA

POLA  
ŚMIERCI



HAING NGOR

POLA  
ŚMIERCI

KAMBODŻAŃSKA ODYSEJA

SPISAŁ Z RELACJI USTNEJ AUTORA,  
ZREDAGOWAŁ I EPILOGIEM OPATRZYŁ

ROGER WARNER

FRONDA

*Tytuł oryginału*

Survival in the Killing Fields

Copyright © 1987 by Sandwell Investment Ltd., and Roger Warner  
First published in the UK by Robinson, an imprint of Constable & Robinson

Copyright © 2011 for the Polish Edition by Fronda PL Sp. z o.o., Warszawa

*Tłumaczenie*

Zyta Orszyn

*Tłumaczenie epilogu Rogera Warnera*

Robert Pucek

*Redakcja i korekta*

Magdalena Wojacek

*II korekta składu*

Robert Jankowski

*Projekt okładki*

Radosław Krawczyk

*Zdjęcie na okładce i zdjęcie Autora*

Agencja EAST NEWS

*Opracowanie typograficzne i łamanie*

Marek Matusiak

ISBN 978-83-62268-33-7

*Wydawca*

FRONDA PL Spółka z o.o.

ul. Łopuszańska 32

02-220 Warszawa

tel. (22) 8365444, 8773735

fax (22) 8773734

e-mail: fronda@fronda.pl

www.wydawnictwofronda.pl

www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

*Menedżer projektu*

Wojciech Salwa

*Druk*

Drukarnia im. A. Póttawskiego

ul. Krakowska 62

25-950 Kielce

Wydanie III poprawione i uzupełnione z oryginału angielskiego

*Poświęcam tę książkę pamięci mego ojca Ngor Kea,  
mojej matki Lim Ngor, mojej żony Chang Huoy (Chang My Huoy).  
Wszyscy oni zmarli w najnędniejszych, najbardziej barbarzyńskich  
i krańcowo nieludzkich warunkach, które zgotował im  
reżim Czerwonych Khmerów. Napisałem tę książkę, by cały świat  
dowiedział się, co zrobili komuniści i inne reżimy Kambodży.*



# Prolog

## Oscar

Robiłem w życiu wiele rzeczy: byłem wędrownym handlarzem, chodzącym boso po ścieżkach dżungli; lekarzem, jeżdżącym luksusowym mercedesem do własnej kliniki; ostatnio, ku ogólnemu zdumieniu, zwłaszcza mojemu, zostałem aktorem Hollywood. Jednak nic nie ma dla mnie większego znaczenia, jak fakt, iż udało mi się przeżyć reżim Pol Pota. Jestem zwykłym uchodźcą z kambodżańskiego holokaustu. Oto kim jestem.

Pol Pot i jego Czerwoni Khmerzy, w latach 1975-1979, brutalnie zmienili tradycyjny model życia w Kambodży, dokonując na nas komunistycznego eksperymentu. Okres ten przeżyłem w maleńkiej, rolniczej wiosce na północnym zachodzie kraju. Zapomniałem tam, jak prawie wszyscy, o radościach i luksusie przedrewolucyjnego życia. Chodziłem boso, w łachmanach i byłem tak wygłodzony, że można mi było policzyć zębra. Musiałem ukrywać fakt posiadania dyplomu lekarza, bo groziła mi za to śmierć. Większość członków mojej rodziny została wymordowana, mnie omal też nie pozbawiono życia. Czerwoni Khmerzy, niszcząc naszą kulturę i robiąc z nas niewolników, zmienili miliony szczęśliwych i normalnych ludzi w dzikie zwierzęta. Ze mnie zrobili przebiegłego i gotowego na wszystko złodzieja.

Zacząłem kraść. Po zapadnięciu zmroku wyslizgiwałem się z chaty. Zapadając się w ciemność, nasłuchiwałem i obserwowałem żołnierzy. Zewsząd rozlegały się cykania świerszczy i nocne, żabie chóry. Wkradając się do wiejskiego ogrodu, dochodziłem do rosnącej rzędami kukurydzy i delikatnie odrywałem kolby, pieczołowicie nadając pokrywającym je liściom pierwotny kształt, aby nazajutrz nie zauważono niczego.

Najpierw kradłem sam. Potem inni, wygłodniali mieszkańcy osady, poprosili mnie, bym został ich przywódcą. Zorganizowałem bandę, która okradała nocami pola i ogrody. Naszym głównym celem był ryż.



Dla Kambodżan ryż stanowi centrum pożywienia. To czysty, naturalny składnik, któremu smak nadają dodatki. Tradycyjnie, aż do przejęcia władzy przez Czerwonych Khmerów, jadalіśmy ryż do każdego posiłku. Później bardzo rzadko mieliśmy dostęp do tego wspaniałego pokarmu, który po ugotowaniu ma ziarenka miękkie, ale doskonale sypkie i wonnie parujące.

Ryż stał się obsesją dla mojej bandy. Chodziliśmy na pola czekające zbiorów. Śpieszyliśmy się, jak wariaci, tnąc ryż, młóćąc go na ziemi nogami i napełniając olbrzymie, konopne worki. Potem uciekaliśmy. Po powrocie do osady, chowając się przed spojrzeniami żołnierzy, czyściliśmy w moździerzu ziarna z łusek i gotowaliśmy, a później obżeraliśmy się do rozpuku.

Grabiliśmy też warzywne ogrody w sąsiednich osadach. Kradłem nie tylko dla siebie, ale gdy zebrałem już pokaźny zapas jarzyn, nadwyżkę rozdawałem innym. Żywiłem w ten sposób chyba tyle samo ludzi, co komuniści. Ale nie byłem zadowolony. To był czas buntu.

Pod rządami Czerwonych Khmerów zakazano wszelkiej własności prywatnej. Nie wolno było gotować w domu. Kontrolowano wszystko, począwszy od pracy, poprzez życie rodzinne, a nawet seksualne. Mieszkańcy osady musieli jeść razem w głównym, obszernym pomieszczeniu, zwanym kolektywną kuchnią.

Pewnego dnia, kiedy jadłem wraz z innymi posiłek, czyli jak zwykle czarkę ryżu pływającego w dużej ilości wody, miałem okazję zerknąć do półotwartego magazynu. Dostrzegłem w nim, leżącą na ziemi, ręczną łuszczarkę.

Gdy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że to jedynie kwestia czasu, a będzie ona moja.

Zdobycie łuszczarki było szalonym pomysłem. Nie tak, jak kradzież jedzenia, gdzie zyski równoważyły ryzyko. Ukradzenie łuszczarki nie chroniło przecież przed zdychaniem z głodu, ale za jej pomocą można było szybciej, niż w moździerzu łuskać ryż. Ryzyko było natomiast większe, niż przy okradaniu ogródków. Magazyn stał tuż obok kuchni, poza tym dzień i noc pilnowali go żołnierze.

Kradzież łuszczarki była pewnego rodzaju egzaminem: sprawdzeniem złodziejskich kwalifikacji i wyzwaniem dla mojego nędznego życia. Pozwalała sprawdzić czy bogowie pragną mojego życia, czy śmierci.

Za każdym razem, kiedy przechodziłem obok kolektywnej kuchni, przyglądałem się ukradkiem magazynowi. Zawsze stali wokół niego żołnierze na warcie.

Ostatecznie uznałem, że łuszczarkę można zdobyć jedynie w obecności wielu ludzi.

W niektóre wieczory przywódca miasteczka organizował seanse politycznej indoktrynacji, na których musieli być obecni wszyscy mieszkańcy. Jak większość Czerwonych Khmerów, przyjął on nowe nazwisko, wskazujące na jego rewolucyjną gorliwość. Nazwał się Mao, prawdopodobnie ku czci Mao Tse-tunga. Był człowiekiem nieokrzyszonym, nosił czarne spodnie i bluzę – mundur Czerwonych Khmerów.

Podczas kolejnego zebrania, które Mao zwołał w kolektywnej kuchni, usiadłem z tyłu, mając za plecami przepierzenie magazynu. Było zrobione ze sztywno utkanego materiału. Zapadła noc, rozbłysły gwiazdy, nie wszedł jeszcze księżyc.

Mao otworzył spotkanie skandując hasła. Musieliśmy wstać i powtarzać za nim, bijąc się przy tym w piersi i podnosząc pięści w pozdrowieniu. – Niech nam żyje Kambodżańska Rewolucja! – krzyczał Mao. – Niech nam żyje Kambodżańska Rewolucja! – wykrzykiwaliśmy, chociaż nikt tak nie myślał. Przywódca powtarzał hasło kilka razy, a my za nim. I rozpoczął nową serię sloganów.

Po zakończeniu skandowania, siadaliśmy. Mao mówił o tym, jacy to jesteśmy szczęśliwi, mogąc żyć w społecznym systemie, w którym wszyscy są równi, gdzie każdego dnia dostajemy przydział jedzenia i walczymy razem dla stworzenia nowoczesnego i potężnego narodu.

Tymczasem odkąd komuniści przejęli władzę, kraj znalazł się w katastrofalnej sytuacji. Nie mieliśmy elektryczności, zegarów, samochodów. Nie było zachodnich lekarstw, szkół, świątyń. Mieliśmy bardzo mało jedzenia. Żyliśmy w ciągłym strachu przed wojskowym reżimem.

Mao przemawiał recytując zdania, które wbito mu do głowy w całości. Każde jego przemówienie było właściwie takie samo. Tłum wzdychał, ludzie ukradkiem drzemali.

To był dobry moment.

Pomodliłem się krótko. „Buddo, przebacz mi. Nie kradnę, by stać się

bogaczem. Dzielę się wszystkim z innymi. Proszę cię, ocal mnie raz jeszcze”.

Pochyliłem się do przodu i uniosłem mając za plecami przepierzenie magazynu. Jego podstawa dotykała ziemi, ale nie była do niej przytwierdzona. Wślizgnąłem się do ciemnego pomieszczenia.

– Nasi robotnicy, chłopci, żołnierze-rewolucjoniści – mówił Mao – rzucili wyzwanie, żeby odbudować naszą gospodarkę. Walczymy z naturą, by stać się panami własnych losów. Wszyscy nasi sprzymierzeńcy ruszyli z ofensywą, pracując z wielkim, rewolucyjnym zapałem dla osiągnięcia przełomowego skoku naprzód!

Zacząłem macać ziemię wokół siebie. Poczułem pod palcami okrągły przedmiot. Był cięższy niż myślałem. Udało mi się go zdemontować na części, które odróżniałem dotykiem. Dwa duże, płaskie kamienie, skrzynka i podstawka.

– ... oni są zdecydowani na nową, nieubłaganą ofensywę... – grzmiał Mao.

Ponownie podniosłem przepierzenie i wyślizgnąłem się tą samą drogą.

– ... i do zwycięstwa – ryczał Mao.

Przede mną rysowały się sylwetki mieszkańców, głowy mieli posłusznie zwrócone w stronę przywódcy. Tuż obok była fosa, łącząca się z systemem kanałów nawadniających. Z kamieniami pod pachą i podstawką za pasem wszedłem do wody. „Idź wolno – mówiłem do siebie – nie rób hałasu”. Zmusiłem się do spowolnienia ruchów, żeby nie wywołać plusku.

Przemówienie Mao i przymusowy aplauz cichły w oddali. Zanurzyłem się w błotnistej wodzie, tylko nos i oczy wystawały mi na powierzchni, jak u krokodyla, nogi grzęzły w błocie. Gwiazdy rozbłysły na niebie, odbijając się od tafli wody. Na horyzoncie pojaśniało. Wschodził księżyc. Musiałem się śpieszyć. Brodziłem szybciej. Zrobiło się już późno.

Z trudem wylazłem z fosi i szybko poszedłem do hangaru z nawozem, gdzie za dnia pracowałem. Schowałem łuszczarkę pod kupę nieczystości, pobiegłem do chaty, zmieniłem przemoczone ubranie i pośpiesznie skierowałem się z powrotem do kuchni. Tłum znów wiwatował i powtarzał slogany. Rozległy się gromkie oklaski. Spóźniłem się. Przemówienie zostało zakończone.

W świetle księżycy żołnierze przeczesywali kąt obok magazynu, w którym siedziałem. Ciekawscy obywatele rozglądali się wokół, wykrzykując co jakiś czas moje imię. Kiedy przybiegłem zdyszany, Mao kazał przyprowadzić mnie do siebie i wyjaśnić, gdzie byłem.

Podszedłem do niego skulony. Spuściłem wzrok, a na usta przywołałem zażenowany uśmiech.

– Wybaczcie mi towarzyszu – powiedziałem potulnie – mam problemy z żołądkiem i narobiłem w portki. Poklepałem się po spodniach, by mnie lepiej zrozumiał. – Poszedłem do domu, żeby się przebrać.

Wszyscy ryknęli śmiechem, nawet żołnierze. W tych niehigienicznych warunkach kłopoty z jelitami były powszechne. Nawet Mao, człowiek niebywale okrutny, skrzywił twarz w uśmiechu. Ręką nakazał mi oddalić się, tak jak ojciec odgania nieposłuszne dziecko.

Usiadłem na swoim miejscu, opierając plecy o przepierzenie magazynu.

Tej nocy czyściłem już ryż łuszcarką.

Następnego dnia poszedłem znów kraść ze swoją bandą.

Innego dnia, sześć i pół roku później, siedziałem w Dorothy Chandler Pavilion w Los Angeles. Miałem na sobie smoking i lśniące lakierki na stopach. Znana prezenterka odczytała ze sceny: „Haing S. Ngor”, wymawiając to *Heng S. Nor*, jak mówią obcokrajowcy.

Po opuszczeniu Kambodży moje życie odmieniło się całkowicie. Przyjechałem do Stanów Zjednoczonych z papierami uchodźcy. Zaangażowano mnie do zagrania roli pewnego Kambodżanina, Ditha Prana, w filmie pod tytułem *Pola śmierci (The Killing Fields)*. Byłem świadom pomyłek, jakie zrobiłem odgrywając ową rolę, tak jak i ilości błędów popełnionych w realnym życiu. Mimo to dostałem nominację do Oscara razem z innymi, zawodowymi aktorami.

A przecież – pomyślałem – co jest najważniejsze w grze aktorskiej? Trzeba wczuć się w nową tożsamość i przekonać do niej innych. I właśnie to robiłem przed Mao, szefem miasteczka. Czekać na otwarcie koperty i ogłoszenie zwycięzcy, czułem podekscytowanie, ale w głębi serca spokój. Było mi obojętne co się wydarzy. Wiedziałem, że moje najważniejsze role odegrałem tam, w Kambodży. I otrzymałem już za nie wspaniałą nagrodę. Wolność.

# Pierwsze bunty

W odległych wspomnieniach widzę, jak stoję przy bramie domu moich rodziców i wpatruję się w ryżowe pola. Fascynowały mnie. Zalane wodą uprawy, pocięte gozłami na nierównej wielkości kwadraty, przypominały zdeformowaną szachownicę. Gdzieniegdzie, na skrzyżowaniach krętych kanałów, rosły drzewa.

Krajobraz zmieniał się wraz z porami roku. W styczniu, podczas pory suchej, poletka pokrywały brunatne ścierniska. W kwietniu i maju, kiedy zaczynało mżyć i padać, delikatnie zieleniły się. A gdy pora deszczowa sprowadzała ciężkie chmury, chłopci przesadzali rozsadniki na pozostałe pola. Pod wpływem długotrwałych deszczy ryż rósł gęsty i zielony, a rowy znikaly z pola widzenia, aż do sierpnia. Kiedy przestawało padać, rośliny złościły się stopniowo. Po żniwach, na polach pozostawało jedynie suche ściernisko. Rolnicy młócili żdźbła, czyścili ziarna i sprzedawali ryż rodzinom, takim jak moja.

Jedliśmy ryż z wielką radością, zostawiając zawsze pewną część dla mnichów, którzy przychodzili do nas każdego ranka po jałmużnę. Ubrani byli w żółte, pomarańczowe lub beżowe szaty własnoręcznie farbowane sokiem z kory. Głowy i brwi mieli ogolone. Chodzili gęsiego od jednego domu do drugiego, w ciszy, spokoju, z nikim nie rozmawiając.

Takie są moje wspomnienia. Pola ryżowe zmieniające się wraz z porami roku i mnisi przychodzący każdego ranka do naszego domu. Właśnie taką Kambodżę chciałbym zapamiętać: cichą, piękną i spokojną.

W rzeczywistości jednak pierwsze zdarzenie, jakie wyryło się w mojej pamięci, nie było pokojowe. Miałem około trzech lat. Prawdopodobnie zdarzyło się to w roku 1950. Matka wysłała mojego starszego brata i mnie na pole ryżowe, po wodę ze stawu. Pora była sucha. Żołnierze z miejscowego garnizonu, w krótkich koszulkach i bez butów, łowili ryby. Zaczepiliśmy wodę. Mój brat położył jeden koniec drąga na swoim ramieniu, ja drugi na swoim i umieściliśmy pełne wiadro między sobą. Kiedy wracaliśmy do domu – dwaj mali, bosonodzy chłopcy – nagle usłyszeliśmy przenikliwe

*bang!* Za nami, niedaleko stawu rozległ się strzał. A potem kolejny, *bang!* i okrzyki żołnierzy. Matka wychyliła się zza drzwi domu. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak przerażonej.

– Dzieci, chodźcie tutaj! Zostawcie wiadro! Szybko! – zawołała. Posłusznie pobiegliśmy w jej stronę. Chwyliła nas za ręce i pociągnęła za sobą w głąb domu. Z zewnątrz dochodziło do nas coraz więcej strzałów i krzyki sąsiadów.

Pamiętam, że znalazłem się razem z bratem w dużej jamie wydrążonej pod drewnianą deską, służącą za łóżko moich rodziców. Było w niej ciemno i zimno, brzegi miała wysypane suchym piaskiem. Rodzice spodziewając się niebezpieczeństwa, już wcześniej przygotowali solidny schron. Moi pozostali bracia i siostry też tam byli. Potem dołączyła do nas matka i na koniec ojciec, który przybiegł z bazaru zdyszany i zlany potem.

W pobliżu naszego domu rozległ się strzał, a później kolejne. Coś się rozbiło, ze stołu spadła szklanka. Matka modląc się, przycisnęła nas do siebie, ojciec przeklinał. My, dzieci, próbowaliśmy jakoś urządzić się w tym schronie.

Kiedy strzały ucichły, usłyszeliśmy dobiegające z zewnątrz głosy. Ktoś wołał ojca po imieniu, więc wyszedł z ukrycia. Kilka minut później poszliśmy za nim. Na podłodze leżało rozbite szkło, ściana nad drzwiami była podziurawiona. Przed domem zebrał się wielki tłum. Ludzie wybiegali na ulice, mówili jeden przez drugiego:

– Reszta uciekła. Nikogo więcej nie zabili....

– Żołnierze wrócili do garnizonu i strzelali ze strażnicy...

– Schował się za tym drzewem. Widzicie, ile na tym pniu jest śladów po kulach? Są nawet w bramie domu Ngora...

Przecisnąłem się pod nogami ludzi. Chciałem to zobaczyć. Obok drzewa, naprzeciw naszego domu, w samym środku zgromadzonego tłumu, leżał człowiek z zakrwawioną twarzą. Obok niego karabin. Pozostałe dzieci poszły w moje ślady, niektóre z nich dźwigały na biodrach swoich młodszych braci i siostry.

Patrzyliśmy na to wszystko, wytrzeszczając oczy.

Zabity partyzant był dobrze zbudowany, miał barczyste plecy i silne nogi, a bosa stopy szerokie i stwardniałe, jak u wieśniaka. Jego cera była

ciemna, ręce i barki pokrywały tatuaże. Spodnie miał krótkie i podarte. W pasie przewiązany był *kramą* – kambodżańską chustą z buddyjskimi amuletami i paciorkami służącymi do modlitwy. Nie miał koszuli. Nie pochodził z miasta. Był człowiekiem ziemi, z pobliskiej okolicy z samego serca spokojnej Kambodży. I zbuntował się.

Teraz, wiele lat później, kiedy jestem dorosły i żyję daleko, myślę, że już wtedy pojawiły się pierwsze kłopoty. Może nie była to rewolucja, ale głęboko ukryte niezadowolenie.

Dla cudzoziemców, a nawet dla większości mieszkańców, Kambodża nadal wydawała się spokojna. Chłopi przywiązani byli do pór roku. Rybacy do swoich łodzi, wypełnionych opalonymi na brąz i skaczącymi do wody dziećmi. Bosonodzy mnisi bez pośpiechu robili swój codzienny obchód. W każdym mieście stały buddyjskie świątynie, wznosząc z wdziękiem, ponad drzewami, swe wielopoziomowe dachy. Stolica kraju, Phnom Penh, szczyliła się rozległymi bulwarami i kwitnącymi drzewami. Na zewnątrz wszystko wyglądało pięknie i pogodnie, ale w środku cały czas skrywało się *kum*. *Kum* określa charakter kambodżańskiej mentalności. Mówiąc jaśniej, długo chowana uraza prowadzi do zemsty bardziej dotkliwej niż poniesione krzywdy. Jeżeli uderzę cię pięścią, a ty po pięciu latach strzelisz mi w plecy ciemną nocą, to jest *kum*. Albo kiedy rząd kradnie wieśniakowi kury, a on zaatakuję państwowy garnizon, tak jak w mojej wiosce, to też jest *kum*. Wszyscy w Kambodży wiedzą, co znaczy *kum*. To zaraza trawiąca naszego narodowego ducha.

Zanim inne państwa zaangażowały się w nasze wewnętrzne sprawy, walki prowadzone były na małą skalę i powodowały ograniczone zniszczenia. Kiedy kilku obszarpanych partyzantów atakowało garnizon w mojej wiosce, wiedzieli o tym tylko jej mieszkańcy. Nikogo więcej to nie interesowało. Gazety w Phnom Penh szeroko relacjonowały wydarzenie, ale informacje nie przedostawały się poza granice kraju. Był to jedynie drugorzędny incydentem w nieprawdopodobnie mało znaczącej wojnie domowej. Podobne wojny toczyły się dosyć często w różnych częściach świata. I pozostałe kraje niewiele o nich wiedziały.

Kambodża dla wielu ludzi to zaledwie nazwa. Jakieś odległe miejsce, gdzie wydarzyło się coś złego, ale nieliczni wiedzą, co dokładnie. Gdy

wspomnieć Pol Pota albo Czerwonych Khmerów, niektórzy zaczynają sobie przypominać bombardowania, ludobójstwo lub nawet film *Pola śmierci*. Ale to przyszło później.

Kambodża jest częścią Indochin, która z kolei wchodzi w skład rozległego obszaru w południowo-wschodniej Azji. Teren ten nosi nazwę Indochiny, ponieważ znajdujące się na nim kraje leżą między wschodnimi Indiami i południowymi Chinami, pozostając pod ich kulturowym wpływem. Kambodża przejęła od Indii terytorium i alfabet, od Chin klasę kupiecką, wraz z moją rodziną ze strony ojca. Przez wiele lat Indochiny były francuskie, gdyż w połowie XIX wieku Francja podbiła Kambodżę i sąsiadujące z nią Laos i Wietnam. Partyzanci, którzy przyszli do mojej wioski, próbowali oczyścić ją z francuskich rządów. W tym samym czasie, w Wietnamie, Ho Chi Minh i jego komuniści starali się zmusić Francuzów do opuszczenia kraju, organizując powstanie na szeroką skalę.

Wietnam zawsze usuwał Kambodżę w cień światowej opinii, ponieważ prowadził wielkie wojny, w które angażowały się zachodnie kraje. Dlatego też ludzie bardziej znali Wietnam niż Kambodżę. Nigdy nie lubiłem tłumaczyć, że Kambodża leży obok Wietnamu ani nawet blisko Indii czy Chin. Dla mnie Kambodża oznaczała coś bardzo wyjątkowego. Była nazwą kraju, który rozciągał się wokół mojej wioski. Jak wszystkie dzieci wierzyłem, że stanowi ona centrum świata.

Wioska nazywała się Samrong Yong. Była uśpionym skrzyżowaniem, leżącym na północ od Phnom Penh, ze stojącymi w jednym rzędzie domami, ryżowymi polami, i lasami po drugiej stronie. Po incydencie ze strzelaniną, rodzice przenieśli nas do domu przyjaciela w pobliskiej wsi. Tam mieliśmy być bezpieczni. Każdego wieczora przychodzili do nas, spędzali z nami noc, a rano wracali do wioski, gdzie prowadzili interesy. Któregoś dnia ojciec nie wrócił.

Został porwany przez partyzantów. Matka zbierała pieniądze na jego uwolnienie. Kiedy zapłaciła, porywacze wypuścili ojca, ale w zamian zatrzymali matkę i zażądali wyższego okupu. Gdy już oboje byli na wolności, skorumpowani żołnierze z kambodżańskiego rządu podtrzymywanego przez Francuzów, ponownie zamknęli w więzieniu ojca. Oskarżono go o współpracę z partyzantami. Podobno widziano, jak każdego wieczora



wymyka się do nich z Samrong Yong. Oczywiście był to tylko pretekst do wyłudzenia pieniędzy.

Mnie odesłano do Phnom Penh. Kiedy tam przebywałem, zarówno rebelianci, jak i wojsko, jeszcze wielokrotnie porywali mojego ojca. Nienawidził płacić okupów, ale nie miał innego wyjścia. Nikt nie mógł go ochronić. Jak większość handlarzy, miał chińską urodę, bladą skórę i skośne oczy. Był dla nich łatwym celem. Większość Kambodżan pochodziła z rodu Khmerów o okrągłych oczach i ciemnobrązowej karnacji albo była rasową mieszanką.

Kiedy wreszcie wróciłem do wioski, pola ryżowe wyglądały tak samo. Mnisi nadal robili poranne obchody, ale każdego popołudnia nowe oddziały młodych mężczyzn i kobiet, uzbrojonych w maczety i karabiny, maszerowały po okolicy. Chodzili niezgrabnie i nie przypominali prawdziwej armii, ale mieli mocne poparcie w miejscowej ludności. Cała wioska była już zmęczona skorumpowanymi żołnierzami wspieranymi przez francuski rząd i partyzantami. Twórcą tego wojska był nasz młody król, Norodom Sihanouk. Czuł to samo, co my. Próbował wyrzucić z naszego kraju Francuzów, ale również partyzantów, ponieważ byli komunistami współpracującymi z Ho Chi Minhem. Sihanouk nie chciał by naszym krajem rządziły zachodnie siły, takie jak Francja, ani też komuniści. Pragnął Kambodży autonomicznej i neutralnej, z buddyjską tradycją.

Z powodu płacenia licznych okupów, mój ojciec zubożał. Posłał mnie i mojego starszego brata Pheng Huora do chińskiej szkoły, ale szybko zrezygnował z mojej edukacji, gdyż nie stać go było na czesne dla nas obu. Nie przejąłem się tym. Pheng Huor był mądrzejszy ode mnie. Brał do ręki abak, chińskie liczydło z drewnianymi kulkami, muskał je palcami i w sekundę miał rozwiązane zadanie, podczas gdy ja próbowałem dopiero przypomnieć sobie wartość kul. Pheng Huor zawsze po szkole pomagał ojcu. Ja towarzyszyłem matce. Moja matka, podobnie jak ja, miała śniadą karnację, mieszaninę chińskiej i ciemnej, spotykaną u kambodżańskich chłopów.

Kiedy ojciec odnawiał interesy, a brat uczył się w szkole, codziennie razem z matką prowadziłem handel wymienny, by zdobyć jedzenie dla naszej rodziny. Nosilem na barkach długi, bambusowy kij z haczykami na

każdym z końców, na których wisiały kosze. W jednym były ciasteczka upieczone przez mojego ojca, w drugim groszek, suszone ryby, sojowy sos, sól i wszystko inne, co można było sprzedać lub wymienić. Wyruszyliśmy o świcie. Koszyki chwiały się na moich barkach, a ja próbowałem dostosować kroki do ich rytmu. Matka owijała głowę kramą i stawiała na niej kosz.

Zbaczyliśmy z państwowej drogi nr 2, brukowanej szosy przecinającej naszą wioskę, na ścieżki wyłobione przez wozy zaprzęgane w woły. Wkrótce znajdowaliśmy się z dala od ruchliwej trasy, między łąkami i lasami. Szliśmy przez otwarte pola ryżowe osłaniające wioski, gdzie pokryte strzechami domy sterczały wśród drzew tamaryndowców, mangowców, bananowców i palm. Mieszkali tam etniczni Khmerzy, przyjaźni, ciemnoskórzy ludzie, którzy bez zbędnego wysiłku opanowali sztukę życia na ziemi. Każdy dom posiadał ogród, otoczony trzcinowym płotem, w którym rosły warzywa i tytoń. Kury gdakały, dziobiąc karmę, a koguty piałły całymimi godzinami. Przeważnie wymienialiśmy zawartość naszych koszy na ryż, ponieważ był tutaj tańszy niż w Samrong Yong.

Chodziliśmy cały dzień, ale mimo to wracaliśmy mocni i zdrowi. W drodze powrotnej zbierałem lotosy, których korzenie i kwiaty dodawały smaku zupom, a także szpinak wodny oraz liście drzewa *sdao*, dosyć ostre, jak większość wiejskiego jedzenia. Za każdym razem, kiedy przechodziliśmy przez las, matka zawijała w liść kilka ziarenek ryżu i ofiarowywała je miejscowym duchom.

Kiedy miałem około ośmiu lat, pozwolono mi samemu prowadzić handel wymienny. Moja ulubiona wioska leżała wśród cukrowych palm, których długie, wąskie i pokrzywione pnie zakończone były wachlarzami liści. Każdego ranka mężczyźni wdrapywali się na drzewa, by zbierać nektar z kwiatów. Przez wiele godzin gotowali go w kadziach, aż powstawał brązowy cukier o smaku melasy. Potem sprzedawali go na jarmarku albo handlowali ze mną.

Robili z niego także napój alkoholowy, lekko musujący, w smaku przypominającym piwo. Dobrej jakości trunek powstawał bezpośrednio na palmowym drzewie. Pewnego dnia, kiedy przechodziłem przez miasteczko, mężczyźni zawołali mnie ze szczytów palm. – Hej, chłopcze! Hej! Ngor

Haing!<sup>1</sup> Chodź na górę, mamy coś dla ciebie. Wspiąłem się po bambusowej drabinie. Na górze, na platformie łączącej kilka sąsiadujących palm, siedzieli roześmiani mężczyźni. Oczy im się skrzyły. Pili świeże, palmowe piwo. Skosztowałem, było wyśmienite. Wypiłem więcej. Godziny mijały. Rozmawialiśmy i żartowaliśmy na szczycie drzewa, dopóki nie uświadomiłem sobie, że muszę zejść na dół. Niestety nie potrafiłem zapanować nad swoimi rękami i nogami. Ziemia wydawała mi się odległa i mała, jak kula ziemiska podczas lotu samolotem. Zniesiono mnie na dół. Tego dnia nie mogłem już więcej handlować. Zataczałem się na ścieżce, często upadając. Kiedy wróciłem do domu, matka zbesztła mnie, a ojciec popatrzył surowo i pogardliwie. – Nigdy nic nie osiągniesz, jeśli będziesz spędzał czas ze złymi ludźmi – powiedział.

Nie zgadzałem się z nim, miejscowi ludzie zawsze byli dla mnie uprzejmi. Byłem wtedy uparty. Jeśli mój ojciec mówił, że w czymś się myliłem, automatycznie czułem, że mam rację, bez zastanowienia się nad tym, co mi powiedział. Taki miałem charakter: jeżeli przypadkowo stuknąłem głową w ścianę, uderzałem nią jeszcze raz, by sprawdzić, czy uda mi się ją zniszczyć.

Lekarze mówili, że byłem nadpobudliwym dzieckiem. Nie potrafiłem się skupić i miałem za dużo energii. Lubiłem zabawę, kochałem bójki. Mój gang z zachodniej części wioski, często bił się z gangiem ze wschodniej dzielnicy. Jeśli nieprzyjaciele zbliżali się do mnie, gdy byłem sam, zdejmowałem kosze z haków i czekałem spokojnie, przygotowany, by zaatakować ich bambusowym kijem. Nie bałem się. Moje zabawy nie podobały się jednak ojcu, który każdego dnia pracował bez wytchnienia i oczekiwał, że pomoże mu w interesach. Ale im więcej zrzędził, tym częściej przebywałem poza domem.

Było mi coraz trudniej patrzeć ojcu w oczy. Mój najstarszy brat, trochę opóźniony umysłowo, pracował z ojcem już od długiego czasu, jak zwykły robotnik, wierny wół domowy. Drugi brat, Pheng Huor, wyjątkowo inteligentny zajmował się rachunkami. Ja byłem trzeci z kolei, za mną jeszcze dwaj młodsi bracia i trzy siostry. Bardzo chciałem pomagać rodzinie, ale nie mogłem cały czas pracować. Było tyle ciekawych rzeczy do zrobienia.

---

<sup>1</sup> W Kambodży, jak w większości krajów Azji, nazwisko rodowe poprzedza osobiste imię. W Azji mówią do mnie Ngor Haing, ale na Zachodzie Haing Ngor.

Kiedy miałem około dziesięciu lat, zaczęły się moje kłopoty. Rząd tajlandzki, zachodni sąsiad Kambodży, podarował mnichowi z Tonle Batí, miasta położonego niedaleko naszej wioski, ogromną rzeźbę Buddy. Ów mnich był stary i dostojny, odpowiednik biskupa. Rzeźba miała stanąć w kamiennej świątyni, wzniesionej w 1200 roku w starożytnej epoce kambodżańskiej cywilizacji, zwanej Angkor. Zanim jednak zainstalowano posąg, mój ojciec i mnich udali się po niego do Tajlandii.

Wyruszyli fordem ojca, starą, czarno-brązową ciężarówką na północ, drogą państwową nr 2 do Phnom Penh, a później w kierunku północno-zachodnim, wokół olbrzymiego jeziora Tonle Sap i w stronę Tai, przygranicznego miasta Aranyprathet. Drogi były okropne. Ciężarówka ciągle się psuła. Ojciec był wściekły, ale ze względu na mnicha udawał spokój. Kiedy w końcu dotarli na miejsce, rzeźba okazała się niezwykle potężna i piękna. Gdy wracali do Kambodży z posągiem na przyczepie ciężarówki, zatrzymywali się w każdej małej wiosce wzdłuż drogi, pokazując mieszkańcom Buddę. Ludzie składali datki, by zasłużyć sobie na ponowne narodziny w lepszym życiu, a ojciec przeznaczał je na naprawę samochodu i paliwo. Chociaż był człowiekiem niecierpliwym, nie mógł przyspieszyć powrotu do domu.

Pod jego nieobecność interesami zajmowała się matka. Ja zaś spędzałem więcej czasu na bójkach.

Dzień przed powrotem ojca, z zamykanej na klucz szafki nad łóżkiem rodziców, zniknęło pudełko z tuzinem importowanych, grających pocztówek. Gdyby zostały sprzedane, mogły przynieść niezły zysk naszej rodzinie. Matka zawołała mnie i zapytała, czy je zabrałem. Odpowiedziałem szczerze, że nie. Jednak nie uwierzyła. Ze wszystkich dzieci, tylko ja regularnie przysparzałem rodzicom kłopotów.

Postawiła sprawę jasno. – Jeśli ukradłeś i sprzedałeś pocztówki, przyznaj się, a nie doniosę ojcu i unikniesz kary.

Nie miałem jej nic więcej do powiedzenia. Tata bił nas sporadycznie, tak jak wszyscy chińscy ojcowie. Ale nie zadawał zbyt dotkliwego bólu.

Tego dnia obserwowałem mojego starszego brata Pheng Huora. Kiedy zorientował się, że patrzę w jego kierunku, podniósł wzrok i spojrzał na mnie obojętnie. Ktokolwiek ukradł pocztówki, był członkiem rodziny. Jeśli nawet zrobił to mój brat, tak jak przypuszczałem, nie miałem dowodów.

Następnego ranka tata wrócił do domu samochodem. Był zmęczony i zdenerwowany wszystkim co się wydarzyło.

Matka opowiedziała mu o kradzieży. Podszedł do mnie wściekły. Być może czuł, że to tylko jedna z wielu sytuacji, jakie wydarzyły się pod jego nieobecność i potrzebował odbudować swój autorytet.

Zaprowadził mnie za dom, gdzie przywiązał mi ręce i nogi do kłody a potem zaczął bić drewnianą listwą. Trwało to godzinami. Kiedy się zmęczył, wchodził do domu, ale szybko wracał z kijem w rękę. Matka stała w drzwiach, patrząc litościwie, ale nie powstrzymała go.

Nie wiem, kiedy ojciec skończył mnie bić, bo straciłem przytomność. Gdy się ocknąłem, nadal byłem przywiązany do kłody, ale odwrócony na boku. Słońce świeciło nisko nad polami ryżowymi. Było późne popołudnie. Matka i moja ulubiona siostra Chhay Tao, przyszły zabrać mnie do domu. Rozwiązały mnie i zapytały, co mogą zrobić.

Leżałem na ziemi bez ruchu. Stały nade mną. Powoli zbierałem myśli.

– Nie wierzyłaś mi – powiedziałem. – Zawsze traktowałaś mnie jak wroga rodziny. Nie trudź się, żeby mi pomóc.

Matka klęczała obok.

– A ty ciągle to samo? – powiedziała łagodnie.

Pomogły mi wstać i zaprowadziły do łóżka. Zasnąłem. Wieczorem obudziłem się zły i obrażony. Co zrobiłem, że zasłużyłem na taką karę? Kochałem zabawę. Lubiłem przebywać poza domem bawiąc się, tak długo, jak chciałem. Biłem się z innymi chłopcami. Jeśli to było złe i chcieli mnie za to ukarać, proszę bardzo. Mieli do tego prawo. Ale niczego nie ukradłem. Nie potrzebowałem żadnych pieniędzy. Niczego nie pożałowałem tak bardzo, by okradać własną rodzinę. Jeśli mi nie wierzą, jak mogę nadal mieszkać z nimi pod jednym dachem? Jak mam szanować ich autorytet?

Następnego ranka uciekłem z domu.

Najpierw zatrzymałem się na bazarze w Samrong Yong. Zajmował róg jedyne skrzyżowania w wiosce, naprzeciw garnizonu wojsk francuskich i wysokiej, kamiennej strażnicy.

Bazar stanowił centrum wiejskiego handlu i plotek. Kobiety tłoczyły się w alejkach, targując ceny, dotykając stosów świeżych warzyw i owoców,